

## MARIA ŁASZKIEWICZ

ur. 1960; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	projekt Polska transformacja 1989-1991, PRL, praca w sekretariacie, Komitet Obywatelski, „Gazeta Wyborcza”, Krakowskie Przedmieście 62, wybory czerwcowe w 1989 roku, wolne wybory w 1989 roku, obsługa interesantów

### Moja praca

Co robiłam w sekretariacie? Przede wszystkim była praca biurowa, ale nie tylko. Na przykład przychodzili i mówili: „Zadzwoń do Komitetu Obywatelskiego w Warszawie i zapytaj...” albo: „Zadzwoń i powiedz, że gdzieś jest spotkanie lub wiec”. Dawali mi numer telefonu i dzwoniłam. Zbierałam informacje (miałam tam różne spisy różnych rzeczy), ale głównie przekazywałam informacje i przepisywałam lub pisałam listy. Rano przychodziły teleksy z centralnego Komitetu Obywatelskiego z Warszawy i trzeba było je przekazać konkretnym osobom. Teoretycznie miałam biurko, a na tym biurku był telefon, był spis telefonów, były jakieś teczki, w które coś się upychało, coś się wkładało. Mówię, że teoretycznie miałam biurko, bo tak naprawdę moje krzesło miało charakter przechodni i w momencie, kiedy wstawałam z niego, od razu ktoś na nim siadał.

W tych trzech małych pokojach generalnie przez cały czas kłębili się ludzie, a przez sam sekretariat przewijały się naprawdę tabuny osób. Tak należy to określić, bo to nie była praca, która polegała na tym, że ludzie przychodzą, puk-puk, wchodzą i coś załatwiają. Nagle w pewnym momencie do pokoju wchodziło trzydzieści osób. Każdy z każdym rozmawiał, ktoś z kimś się kłócił o różne rzeczy. Między nimi przemykały jeszcze grupy harcerzy z wiadrami z klejem. Były takie momenty, że człowiek miał wrażenie, że jest w młynie i dookoła jest wielki szum. Czasami nie słyszało się własnego głosu – jeden przez drugiego krzyczał. Nieraz były takie sytuacje, że po prostu wyganiało się wszystkich – „won stąd, musimy coś załatwić”. Wtedy wychodzili i przed drzwiami odbywało się dalsze tokowanie. Bardzo często rozmowy trwały w pokoju i rzeczywiście były takie sytuacje, że człowiek wychodził stamtąd wieczorem i miał głowę pełną wrzasku – sytuacje były bardzo emocjonujące. Szczególnie zdarzało się tak, kiedy przychodziły dynamiczne osoby. Wszystko szalenie przeżywały, więc musiały dać upust swoim emocjom. I bywało tak, że sceny tego

typu powtarzały się codziennie w tym pierwszym pokoju, w którym właściwie przebywałam cały czas. To w sumie dość dziwne, ale nie pamiętam pozostałych dwóch pokoi. Myślę, że nie miałam czasu, aby tam pójść. Jak przez mgłę pamiętam, że tam też pracowali ludzie, ale chyba byłam tam tylko kilka razy.

Drugą grupą osób, które przychodziły do sekretariatu, byli mieszkańcy Lublina. Siedząc zaraz za drzwiami wejściowymi, byłam dla nich tak naprawdę osobą pierwszego kontaktu. Do mnie zatem przychodzili ludzie z ulicy, którzy o różne rzeczy pytali. Ja musiałam zrozumieć, o co im chodzi i odesłać do określonych osób. Instruowałam ich też, jak głosować, na kogo głosować. Oni często pytali się mnie, co będzie dalej? Ja tu występowałam jako wyrocznia i mówiłam: „Wie pan, będzie dobrze! Na pewno będzie dobrze. Na pewno będzie lepiej!”. To były tego typu rozmowy. Musiałam ich przekonać, że po tym będą jakieś zmiany, że warto do tych wyborów pójść, że powinni zaryzykować, bo część z nich najzwyczajnie w świecie się bała. Poza tym przychodziło mnóstwo osób, które były też „dziwne”. Pamiętam takiego faceta, który przychodził i żądał ode mnie adresu do ONZ-u. I ja mu ten adres zdobyłam. Nagle dla ludzi Komitet Obywatelski stał się miejscem, do którego można było przyjść i o wszystko zapytać. Więc jedni przychodzili pytać rzeczywiście o sprawy polityczne, a dla innych stawałam się pomocą społeczną. Pytali mnie co robić, bo mąż bije. Część osób zajmowała się sprawami wyborczymi, a do mnie przychodzili ludzie i mówili o swoich problemach. Mam wrażenie, że wielu pomyślało wtedy, że można rozwiązać problemy nierozwiązywalne przez lata i że my będziemy potrafili to zrobić. To nasiliło się po 4 czerwca, kiedy właściwie staliśmy się takim biurem pomocy społecznej.

Mogę też uznać się za kombatantkę „Gazety Wyborczej”. W jakim sensie? Sprzedawałam pierwsze egzemplarze „Gazety Wyborczej” w Lublinie. Do dzisiaj pamiętam, jak przywieźli pierwszą paczkę. Ludzie rzucili się i teoretycznie miałam ją sprzedawać. Sprzedawanie polegało na tym, że ludzie rozchwyтали gazetę. Leżała paczka z gazetami na krześle, rozpakowało się i momentalnie wszystko zniknęło. Nie dało się nad tym zapanować – każdy chciał to wziąć w garść, a pieniędzy nikt nie zostawił. Oczywiście nic się nie stało z tego powodu, ale chodzi o to, że każdy wtedy chciał tę „Gazetę Wyborczą” dostać. To trwało właściwie aż do wyborów.

W sumie, jak teraz pomyślę, to nie brałam udziału w tych wszystkich manifestacjach, nie jeździłam na wiece, nie uczestniczyłam w wielkiej polityce, jedynie od czasu do czasu dowiadywałam się, że tu poszło gorzej, tam poszło lepiej, ale tam byłam, jakiś udział w tym miałam.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2014-03-18, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Łukasz Kijek
<b>Transkrypcja</b>	Maria Radek
<b>Redakcja</b>	Łukasz Kijek
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"